STANISŁAW
WASYLEWSKI

NA KOŃCU JĘZYKA

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE
<R. WEGNER>

* *

Na początku było w Polsce bardzo przyjemnie. Oprócz wielu innych powodów także i dlatego, bo nie było wcale literatury, ani wogóle języka literackiego. Po puszczach i lasach wałęsały się samopas rozmaite dzikie jeszcze słóweczka nieokrzesane, nieumyte, nieustalone w brzmieniu i znaczeniu, nie dla wszystkich zapewne jednakie. Na początku było słowo, ale gdyby kto chciał nawet chwycić je i wsadzić w klatkę alfabetu łacińskiego nie dałoby się i uciekło zpowrotem do puszczy. „Sponte sua sine lege". Pisać nikt jeszcze po polsku nie umiał. Był to prawdziwy złoty wiek literatury polskiej. Trwało tak za Piasta i Mieszka, a może nawet Chrobrego. Król Chrobry chociaż wiele mógł, nie mógłby np. rozkazać, żeby ludzie pisali po polsku. Byłoby to rzeczą, jeśli nie wogóle niemożliwą i niewykonalną, to w każdym razie niepotrzebną. Tak jak gdyby dziś np. rozkazał prezydent państwa, aby ludzie pisali lewą ręką.

Poco lewą, kiedy sprawniej i łatwiej prawą? Tedy pisano po łacinie, a język polski niepiśmienny urwipołeć, ganiał sobie dalej i harcował po puszczach i barciach i czasem go tylko z trudem wielkim na papier chwycono, jak np. w owej bulli papieskiej z XII-go wieku, zapisującej po raz pierwszy dźwięki i brzmienia polskie.

Urwipołeć chodził do szkoły wcale długo, dwieście lat z górą, aż się wreszcie gadać nauczył dorzecznie, maturę zdał i patent wykupił na przynależność do wielkiej familji narodów po chrześcijańsku cywilizowanych.

I tu zaczyna się bajka, którą chciałem opowiedzieć! Żył sobie w owych czasach uświadamiania się języka, może już za wstydliwego króla, a może o wiele później, kaznodzieja, zapewne franciszkanin, spełniający posłusznie rozkazy władzy duchownej. Zaś owa władza rozkazała właśnie, aby kazania do ludu mówiono „in lingua vulgari", w języku pospolitym polskim, dla wszystkich zrozumiałym. Więc ten ksiądz jął z trudem niesłychanym naginać owe niesforne, syczące i zbite brzmienia polskie do wymagań alfabetu i pergaminu i spisał sobie na cały rok nauki kaznodziejskie. Człowieka takiego nie było naturalnie, bo być nie mogło. Ale przypuśćmy, że istniał i że co nie-

dzieli, jak długo żył, prawił kazania z tych swoich zapisek pergaminowych. Że zaś pergamin trwa dłużej, niż ludzie, więc gdy umarł, korzystali z tych kazań następcy. Aż się zniszczyły z długiego używania. Tedy je przepisali na nowo i mówili dalej przez sto lat i więcej dopóki nie przestarzały się i nie wyszły z mody. Jak każda rzecz niemodna poszły w zapomnienie, w poniewierkę i cudem jakimś tylko uniknęły losu, który czekał w średniowieczu każdą rzecz napisaną na drogocennym pergaminie tj. zeskrobania. — Dopiero w wieku 15-tym, gdzieś za królowej Jadwigi znalazł je gdzieś jakiś introligator, który z klasztoru oo. benedyktynów na Łysej Górze w kieleckiem, w ziemi rodzinnej Stefana Żeromskiego, otrzymał jakieś cenne księgi łacińskie do oprawy. Przykazano mu, aby oprawił mocno, jak się patrzy, więc żeby nici papieru nie przerzynały; pociął tedy stare kazania na wąskie paski i użył tych pasków do wzmocnienia oprawy. Oprawiona księga łacińska wróciła do szafy benedyktyńskiej na Łysą Górę i stała tam sobie spokojnie przez wieki.

Dłużej klasztora, niż przeora, lecz jeszcze dłuższy od obojga jest żywot klasztornej księgi. Przetrwała Grunwald, doczekała Cecory, dożyła Sobieskiego i Wiednia, a nikt nie wiedział i nikogo

to nie obchodziło, że oprócz swej, obojętnej już nowym ludziom starej łacińskiej treści, mieści w wnętrzu swej oprawy zawartość inną, prastarą. Snać dobre były ówczesne Jahody, Kugliny i Semkowicze, bo księga przetrzymała tułaczkę po strychach i lamusach, po bibljofilach i zbieraczach, przetrwała Rzeczpospolitą i rozbiory, aż ją los zaniósł do bibljoteki świeżo otwartego uniwersytetu warszawskiego w r. 1820. Lecz wkrótce już wypadło jechać w dalszą podróż, na wygnanie nad Newę. Konwojowana przez kozaków jedzie spokojna, bo już nie takie rzeczy widziała. Dali jej rosyjską sygnaturę, wstawili w półki i nikt się nie użalił nad losem biedoty zszarpanej nieco, nadgryzionej zębem czasu i podróżami.

W tym Petersburgu było zresztą cicho, tak jak na Łysej Górze u Benedyktynów.

Minęło nowe pół wieku. Aż tu dopiero w r. 1890 zjeżdża do Petersburga czarnoksiężnik, który ma różdżkę czarodziejską w duszy. Bo tak jak inni czują wodę ukrytą w ziemi, tak on wydobywa ukryte przed okiem zwyczajnych ludzi skarby starej twórczości. Nazywa się Aleksander Brückner. „Tenci jest" powiada sobie stara księga i pocichutku, (żeby Moskal nie słyszał) powierza mu tajemnicę, którą przez tyle set lat chowała w swych

okładkach zazdrośnie. I oto zaraz ze zniszczonej oprawy łacińskiej wyzierać poczęły z pośpiechem, zmęczone więzieniem i tułaczką owe zrzynki i paski Jagiellońskiego introligatora i rzekły chórem czarnoksiężnikowi: „Jesteśmy wszystkie, jak nas tu widzisz, w liczbie 18-tu, najstarszym zabytkiem mowy najdawniejszym pomnikiem prozy polskiej. A słuchaj, jak mówimy, bo tak jak my, mówił Kazimierz Wielki."

Wyobrażam sobie wzruszenie prof. Brücknera, kiedy, oswobodziwszy relikwję, począł czytać ze wzruszeniem:

„Te słowa pisze mędrzec Salomon: Wstań, pośpiej się, milutka moja i pójdzi".

Potem ogłosił odkrycie światu, nazwał je „kazaniami świętokrzyskiemi", odjechał, a księga pozostać musiała w niewoli. Wróciła do trezoru rosyjskiego, zadowolona ze spełnionego posłannictwa, spokojna, wieczysta...

Wiedziała, że ma czas, że się doczeka. I doczekała się. Minąć miały jeszcze cztery prawie dziesiątki lat, ale już ostatnie. Przed kilku laty w walizie przedstawiciela komisji rewindykacyjnej, wróciła do Warszawy. Poczęte za Łokietka, przepisane za Kazimierza Wielkiego, ukryte i skazane na zagubę za renesansu, wróciły „kazania święto-

krzyskie“ do odrodzonej Polski. Dumne ze swej spełnionej misji myślały sobie pewnie, że tu się ludzie strasznie ucieszą ich powrotem, lecz dowiedziały się wkrótce, że poza klnącym ich pamięć uczniakiem mało kto wogóle wie o ich istnieniu.

I słusznie. Bo o czem tu wiedzieć, o starych szpargałach. A zresztą kazania jak kazania. Drzewa, jak drzewa, wedle słów żony wysokiego dostojnika, oprowadzającej królową rumuńską po parku łazienkowskim.

Lecz może zawierają jakąś bardzo olśniewającą treść, może przemawiają jakimś szczególnie dostojnym językiem, który porwie czytelnika, który wstrząśnie słuchaczem? Zobaczmy:

Z kazania o narodzeniu Pańskiem. „Przeto iż nie miał w swem narodzeniu gdzieby swą głowę pokłonił, tego dla przed wołem a przed osłem położon był, bo dziewica Marja aż pieluszek dobrych nie miała, a tegodla ji we złe chustki ogarnęła“,

A więc najzwyczajniejsze, boguduchawinne kazanie, jakieby na dobrą sprawę i dziś mógł każdy wsiowy pleban powtórzyć i może niktby się nawet nie zdziwił, nikt nie zwrócił uwagi! Cóż w tem nadzwyczajnego, co tak bardzo ciekawego? Kazanie, jak kazanie.

A paski pergaminowe promienne dotąd, bledną i odpowiadają z bolesnem rozczarowaniem: Otóż właśnie ta zwyczajność jest naszą największą dumą i wagą naszego posłannictwa. Czyż nie uderza was cudowny fakt wieczystości języka? I to, że gdy wielu rzeczy jeszcze w Polsce nie było, ani miast, ani Grunwaldu, ani Jagiellonów, ani na dobrą sprawę Warszawy, a już żył wspaniały, zasobny i rozwinięty język?

Czy nie jest rzeczą radosną pomyśleć sobie, że król Łokietek mówił do królowej Łokietkowej: „Wstań, pośpiej się milutka moja i pójdzi!“

A Niemcy nie rozumieliby dziś Rudolfa z Habsburga, a Francuzi tylko ze słownikiem czytać mogą trubadurów.

Niewiele jest narodów cywilizowanych, któreby mogły pochwalić się taką odwieczną ciągłością tradycji językowej i niewiele zarazem takich, któreby tak mało, jak my, czyniły dla rozwoju swej literatury i dla upowszechnienia jej na świecie.

Kazaniom świętokrzyskim jest dziś samotnie i smutno. Jeżeliby pergamin mógł mieć minę, to te czcigodne paski z pergaminu miałyby pewnie teraz minę głupią. Widzą, że pośpieszyły się. Przyjechały co najmniej o sto lat za wcześnie. Bo jeszcze

co najmniej sto lat przeminie, zanim Polacy dojdą do tego stopnia cywilizacji, na którym zabytki i wielkie dzieła przeszłości żyją w powszechnej świadomości ogółu. Narazie mamy ważniejsze zmartwienia. „Kazania świętokrzyskie“ są relikwją z pergaminu? Nie z papieru.

KONIEC.

* *

SPIS RZECZY.

I.
Kto zwycięży? 1

II.
Pigmaljon z Gontyny 19

III.
Ako-manja i jej skutki 29

IV.
Tajemnica jednej litery 39

V.
Rozmowa z papugą 47

VI.
Zemsta Warszawy 57